

GROMYKO W WARSZAWIE

W DNIU 6 i 7 grudnia bawił w Warszawie z wizytą oficjalną minister spraw zagranicznych Związku Sowieckiego Andrzej Gromyko.

Wydany w związku z tym komunikat informował, że Gromyko przybył do Warszawy na zaproszenie ministra spraw zagranicznych Polskiej Republiki Ludowej Adama Rapackiego. Po dwudniowym pobycie minister sowiecki wraz z towarzyszącymi mu osobami udał się z Warszawy „na krótki wypoczynek na Pojezierze Mazurskie”.

Czy aż tak dalece zmęczony był Gromyko dwudniowym uciążliwym polityką polsko-sowiecką, że potrzebował wypoczynku na Mazurach? Rozmowy, jakie prowadził z Gomułą, Cyrankiewiczem i Rapackim, zważywszy na format polityczny tych „mędzów stanu” i na ich potulne potakiwanie wszystkim sugestiom i wskazaniom płynącym z Moskwy, nie powinny być zbyt go sfatygowane.

Jest bowiem rzeczą aż nadto znaną, że reżim warszawski nie prowadzi własnej polityki zagranicznej i w swoich wystąpieniach na tym polu trzyma się niewolniczo roli przydzielonej mu przez rząd sowiecki. Rapacki odwiedził wprawdzie w roku ubiegłym szereg stolic zachodnich i gościł w Warszawie kilku zachodnich ministrów spraw zagranicznych, ale jego zabiegi w sprawach bezpieczeństwa Europy i powszechnego odprężenia nie osiągnęły większych skutków. „Odprężenie to — jak sam przyznał — jest jeszcze ograniczone i nie-trwałe”.

Rapacki zdaje się nie zdawać sobie sprawy, że pracując na rzecz umocnienia obecnego położenia żadnego istotnego i trwałego odprężenia nie osiągnie. Że w najlepszym razie wywołać może wśród państw mniejszych i słabszych chwilowe uspienie czujności na wciąż istniejące zagrożenie sowieckie. Odprężenie prawdziwe nastąpić może jedynie w wyniku głębszych przemian w Europie środkowej, bez czego stałaby się pewniejsza równowaga polityczna na naszym kontynencie nie da się osiągnąć.

Dopóki Polska będzie protektorem sowieckim, dopóki nie przebuduje swoich stosunków z Moskwą na model normalnego przymierza obliczonego na przeciwwagę rewizjonizmu niemieckiego z pominięciem szerszych, specyficznie rosyjskich dążeń imperialnych, dopóty głos jej będzie lekceważony i oceniany jako złe zadanie dyplomatyczne, wynikające z aktualnych tendencji sowieckich w ich rozgrywkach mocarstwowych.

W dzisiejszym systemie, wobec polityki prowadzonej przez reżim warszawski, Polska stanowi nie tyle pozycję, o którą można by zakotwiczyć ważne problemy bezpieczeństwa europejskiego, ale narzędzie, przy po-

mocy którego w chwili dla siebie dogodnej Sowiety mogą pokusić się o wywołanie potrzebnych im przemian w stosunku do Zachodu i bezpieczeństwa europejskiego.

Nie tak dawno temu, w okresie zagrożenia przez Sowiety Berlina zachodniego, konflikt wojenny w Europie wisiał na włosku. Jak by wyglądała sytuacja Polski, gdyby doszło wtedy do konflagracji? Wolno sądzić, że położenie byłoby znacznie dla Polski dogodniejsze, gdyby w owym czasie stała się na własną politykę zagraniczną. Sytuacja podobna może się powtórzyć z biegiem czasu, Rosja bowiem — jak to sama oświadcza — uznaje i sprzyja ruchom „wyzwoleniczym” i wcale nie odżegnuje się od udziału w pochodzie komunizmu.

Wojna atomowa, ze względu na jej straszliwe skutki, staje się coraz mniej prawdopodobną, ale wzmaga to z kolei szanse wojny konwencjonalnej, jako *ultima ratio* walki dyplomatycznej. Ma to wszystko duże znaczenie dla sprawy utrwalenia pokoju i bez-

pieczeństwa europejskiego, rozpatrywanego zarówno od strony rewizjonizmu niemieckiego, jak i od strony imperialistycznych dążeń Związku Sowieckiego.

Na tym tle wylania się problem nieuchronnych zmian w Europie środkowej w kierunku jej usamodzielnienia jako jednego z podstawowych warunków trwałego zorganizowania stosunków w powojennej Europie.

Polska pozbawiona własnej niezależnej polityki zagranicznej, słaba wewnętrznie dzięki niszczycielskim działaniom rządzącej partii, nie jest w stanie wpływać na rozwój tej sprawy mimo, że łączy się z nią byt i rozwój narodu. Stąd to plynie, że jej zabiegów dokoła odprężenia i bezpieczeństwa kończą się porażkami, gdyż — jak przyznaje Rapacki — „odprężenie jest jeszcze ograniczone i nie-trwałe”.

Nikt na Zachodzie na pewno nie wątpi, że głębokim interesem Polski jest pokój i bezpieczeństwo, ale każdy widzi, że w swoim dążeniu do tego celu znajduje się ona dzięki polityce

reżimu na błędnej drodze. Zbieżność interesów polsko-sowieckich odnośnie rewizjonizmu niemieckiego nie może sprowadzać Polski do roli bezwolnego narzędzia polityki sowieckiej i forpocząty na Zachodzie celów komunizmu światowego.

Pomijając fakt, że polityka sowiecka ma na swoim rachunku Rapallo i pakt Ribbentrop-Mołotow, nie należy zapominać, że jest ona z natury swej imperialistyczna, że obraca się w ramach dążeń imperialistycznych i że wynikające stąd niebezpieczeństwa dla państw słabszych, w tej liczbie i dla Polski, wymagają ze strony ich rządów dużej przeorności i szukania wielostronnych rozwiązań narastających trudności położenia.

W dyplomatycznej ofensywie sowieckiej na Zachodzie Europy, Kreml przeznaczył reżimowi poważną rolę do odegrania. Dyplomacja warszawska — jak widać — wywiązuje się z niej w sposób, z punktu widzenia Sowietów zadowalający. Świadczy o tym publiczne pochwały Gromyki, który oświadczył, że między Warszawą i

Moskwą „istnieje jedność poglądów i całkowite” zrozumienie. Wysoko cenił i popierał — mówił Gromyko — propozycję zgłoszoną w różnym czasie przez polskich przyjaciół w sprawie bezpieczeństwa Europy, w co można uwierzyć, gdyż propozycje te zostały zawniku opracowane w Moskwie i powierzone Warszawie do ścisłego wykonania.

Na zakończenie tej pochwały Rapackiego dodał Gromyko, że zgadza się z jego oceną, iż „dążenie ludów do pokoju i wolności narodowej spotyka się z najcięższym ze strony sił reakcji i agresji. Świadczy o tym zbrodnia wojna Stanów Zjednoczonych w Wietnamie i dowodzą tego niedawne wydarzenia na Bliskim Wschodzie”.

Podczas rozmów z Rapackim, Gomułą i Cyrankiewiczem, Gromyko omawiał problem „umocnienia jednolici ruchu komunistycznego”, który będzie tematem spotkania w Budapeszcie.

Jednakowoż o wyniku tych rozmów komunikat niczego nie ogłasza.

CO SŁYCHAĆ...

W WASZYNGTONIE

Prezydent Johnson niewątpliwie pragnie „honorowego pokoju” w Wietnamie. Taki pokój pozwoliłby mu stanąć przed narodem amerykańskim w świetnej pozycji bezkonkurencyjnego kandydata w wyborach prezydenckich 1968 r. Johnson nie szczędił też gestów pojednawczych i apelów pokojowych wobec reżimu północnowietnamskiego — i ostatnio specjalnie zatrzymał się w Rzymie, aby przyłączyć się do apelu pokojowego papieża Pawła VI. Próby te, jak dotąd, nie potrafiły zmniejszyć reżimu komunistycznego w Hanoi, były równie pod tym względem bezskuteczne, jak bombardowania „obiektyw wojskowych” w Północnym Wietnamie.

Obecnie odnosi się wrażenie, że prezydent i jego rząd zamyślają zmienić swą taktykę w kierunku pokojowego załatwienia konfliktu. Nagle pojawiło się bowiem pojęcie „NLF”, czyli „National Liberation Front”, którym zaczyna się określać partyzantów komunistycznych w Północnym Wietnamie, dotąd określanych rodzimym pojęciem Viet-kong. Czynniki są też naciski na nowy rząd w Sajgonie, aby starał się nawiązać kontakt z NLF-em południowo-wietnamskim, względnie z pewnymi elementami w tym ruchu. Twierdzi się bowiem, że wśród komunistów południowo-wietnamskich są rzekomo pewne elementy nacjonalistyczne, które niechętnie poddają się dyktatowi z Hanoi, w przeciwieństwie do innych,

ślepo mu posłusznych. Teoria ta nie brzmi przekonująco. Nie ma bowiem narodu południowo-wietnamskiego, jest naród wietnamski. Różnica pomiędzy północą, a południem jest wyłącznie ideologiczna. Nacjonalści południowo-wietnamscy nie biją się w szeregach Viet-kongu, lecz popierają, chętnie czy mniej chętnie, rząd w Sajgonie. Szukanie porozumienia z jakimś elementem Viet-kongu i wprowadzenie go do rządu byłoby rzeczą bardzo ryzykowną. Torowałoby drogę do jego opanowania przez komunistów. Nie więc dziwnego, że rząd południowo-wietnamski wcale się do tego nie kwapi — i że tej nowej taktyki, wymyślonej w Waszyngtonie, nie pochwalają też amerykańskie koła wojskowe.

Być może, iż niektórzy doradcy prezydenta Johnsona widzą możliwość honorowego na pozór wycofania się z Wietnamu za pomocą takiego „klajstru”. Wątpliwe jednak, aby prezydent zdecydował się już na tę drogę, pomimo, że w rozmowach, jakie przeprowadził świeżo z przywódcami południowo-wietnamskimi, również poruszył temat kontaktów z „NLF”. Przypuszczać by raczej należało, że uczynił to głównie z myślą o opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych. Chce ona wiedzieć, że prezydent nie zaniedbuje żadnego sposobu, by zakończyć kosztowną interwencję w Wietnamie.

W tej chwili obawiać się można jednak dalszej eskalacji wojny. Wojska komunistyczne nie tylko bowiem wykorzystują — za cichą zgodą księcia Sihanuka — terytorium neutralnej Kambodży dla swoich ruchów, ale ostatnio, wbrew protestom rządu laotańskiego, wkroczyły i na terytorium Laosu, aby także i stamtąd rozwijać swoją akcję przeciw Południowemu Wietnamowi. W tym stanie rzeczy prezydent Johnson może sobie pozwolić, że w opinii amerykańskiej zaznacza się coraz silniejszy zwrot

w kierunku zaostrzenia wojny — i zakończenia jej przy użyciu wszelkich dostępnych środków, choćby najostrejszych. Przeciwnicy takiego załatwienia konfliktu w administracji amerykańskiej usuwają się w czas, aby mieć wolne ręce w okresie wyborczym.

NA BLISKIM WSCHODZIE

Wynik wojny arabsko-izraelskiej był klęską dla Arabów, otworzył natomiast drogę do hegemonii Moskwy we wschodnim basenie Morza Śródziemnego i na Bliskim Wschodzie. Natura nie znosi próżni. Miejsce opuszczone przez Anglików, które zajmować zaczęli Amerykanie, obsadzone zostało teraz przez Rosjan, sojuszników i obrońców świata arabskiego. Aleksandria i Port Said, niedawno jeszcze bazy morskie Zachodu, są obecnie punktami oparcia floty sowieckiej. Okręty sowieckie mają też swoje oparcie w innym porcie śródziemnomorskim, Latakii, w najbliższym sąsiedztwie Turcji. Z otwarciem Kanału Sueskiego będą mogły umocnić bazę swych łodzi podwodnych w Hodeidzie, w Jemenie oraz założyć nową bazę morską w Adenie, właśnie oddanym w ręce anonimowych przywódców tamtejszego NLF-u przez rząd Wilsona. W zapleczu baz i portów wielomilionowe narody arabskie wyciągają ręce po broń i pomoc finansową oraz techniczną Związku Sowieckiego. Czynią to Egipt, Sudan, Syria, Irak i oba Jemeny, uzależniając się od Moskwy nie tylko gospodarczo, ale i politycznie — aby móc się przysposobić do nowej rozprawy z Izraelem. Spośród krajów arabskich Bliskiego Wschodu tylko Arabia Saudyjska i Jordania nie wstąpiły dotąd w stan tej zależności, podobnie jak półchrześcijański Liban. Ale i one solidarne są z resztą świata arabskiego na tle sprawy Izraela i przez to są wątpliwymi klientami Zachodu.

Jedynie Francja nie tylko zachowa-

ła, ale nawet powiększyła swoje wpływy oraz możliwości penetracji do krajów arabskich w następstwie tak krytykowanej z rozmaitych stron polityki de Gaulle'a wobec konfliktu arabsko-izraelskiego.

W ATENACH

Na tle tych zmian, jakie zaszły w położeniu politycznym arabskiego Wschodu, u wybrzeży Morza Śródziemnego, spojrzeć by należało na ostatnie wypadki na Cyprze i w Grecji. Cypr i Grecja stanowią bowiem również potencjalne obiekty w wielkiej grze między głównymi centrami sił w świecie: Moskwą i Waszyngtonem. Rozładowanie konfliktu cypryjskiego, który groził wojną pomiędzy dwoma uczestnikami paktu atlantyckiego, Turcją i Grecją, nie darmo było dziełem amerykańskiego pośrednika. Neutralny Cypr możliwy jest tylko w razie przyjaznych i pokojowych stosunków pomiędzy tymi państwami. W przeciwnym razie może się łatwo stać bazą nowej śródziemnomorskiej potęgi, Rosji.

W dramacie, jaki rozgrywa się już od roku w Grecji, podobnie można się doszukiwać elementów tej światowej gry sił. Na początku r. 1967 Grecja znajdowała się na skraju anarchii i próba uchwycenia władzy przez skrajną lewicę wcale nie była wykluczona. Nie trudno sobie wyobrazić tego konsekwencji, choćby się próba nieudolnie powiodła, ale rozpoczęła wojnę domową. Przewrót wojskowy w kwietniu stworzył nową sytuację. Czyja w tym była ręka — i jaka była przy tym rola króla Konstantyna, nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że dyktatorzy nie są popularni na Zachodzie i że naciski w kierunku jej zlikwidowania wrzastały w miarę, jak sytuacja wewnętrzna Grecji stawała się spokojniejsza. Król Konstantyn widocznie uległ tym naciskom i zapewne wpływał na rząd „pułkowników”, by się możliwie szybko rozwiązał, otwierając z powrotem drogę rządowi demokratycznemu, może zreformowanemu. Takie lub podobne musiało być źródło konfliktu pomiędzy królem a grecką „juntą” pułkowników, która nie kwapiła się i nie kwapi do ustąpienia. Fakt, że starcie było bezkrwawe, dowodzi, że „junta” nie tylko dominuje całkowicie nad armią, ale że i społeczeństwo nie ocenia jej rządów zbyt krytycznie. Oczywiście, im prędzej Grecja powróci do normalnych rządów konstytucyjnych i parlamentarnych, tym lepiej. Być może, iż wystąpienie króla, będące swoistą, choć trochę teatralną demonstracją, proces ten przyspieszy.

ŻYCZENIA NOWOROCZNE

Najlepsze życzenia szczęśliwego Nowego Roku swoim Przyjaciółom, Kolegom i Znajomym składają, przekazując równocześnie datki na Fundusz Narodowy:

Bijas Jan — St. Etienne, Francja ... Fr.25
Borowiak Leon — Australia ... £2. 4.0
Bezimiennie — USA ... \$20.00
Bezimiennie — Londyn ... £2. 0.0
W. Ciboda — Bedford ... £1. 0.0
Antoni Czerwiński — Monachium ... £2. 1.1
Jan Duma — St. Etienne, Francja ... Fr.25
Mieczysław Kijowski — South Plainfield, USA \$5.00
Kolo Przyjaciół „Myśli Polskiej” w Waszyngtonie £13. 5.1
Ludwik Kopeć — Wilmington, USA ... \$5.00
Irma Kowalczyk — Montreal, Kanada ... \$4.00
Jadwiga Krzętowska — Londyn ... £3. 0.0

T. Kubiakowski — Cambridge ... £0.10.0
Stanisław Łucki — Paryż £2. 0.0
Józef A. Mandorf — Brooklyn, USA ... \$2.00
Michał Musiol — Oakville, Kanada ... \$5.00
Kazimierz Prugar — Middlesbrough ... £1. 0.0
Jan Przybylski — Bradford ... £2. 0.0
Stefan Rolski — Londyn £0.14.0
Mieczysław Skibiński — Glasgow ... £1. 0.0
Halina Sługocka — Londyn ... £1. 0.0
T. Starzyński — Sutton in Ashfield ... £1. 0.0
Dr Wit Tarnawski — Monmouth ... £0.10.0
S. Tympalski — Birmingham ... £2. 0.0

Za spokój duszy

Ś. † P.

ROMANA DMOWSKIEGO

w 29-tą rocznicę zgonu odprawiona zostanie msza św. w sobotę, dnia 6 stycznia 1968 roku (święto Trzech Króli) o godz. 12-iej w kościele św. Andrzeja Boboli.

STRONNICTWO NARODOWE

SOJUSZNICY atlantycy na gruntniejszej sesji swej Rady ministerialnej w Brukseli wyrazili gotowość redukcji swych wojsk w Europie, jeżeli blok sowiecki uczyni to samo. „Gdyby warunki na to pozwoliły — głosił komunikat wydany po zakończeniu sesji — redukcja sił po obu stronach przyczyniłaby się waleń do bezpieczeństwa Europy”. Brytyjski sekretarz spraw zagranicznych Brown wyraził wątpliwości, czy Rosjanie zainteresują się tą propozycją, jakkolwiek — dodał — nie ma powodów, dla których równowaga sił nie mogłaby być utrzymywana na niższym poziomie. Rosjanom, podobnie jak Zachodowi, powinno zależeć na zmniejszeniu ciężaru wydatków na obronę.

Teoretycznie minister brytyjski miałby rację, gdyby nie okoliczność, że w łonie sojuszu atlantyckiego widać tendencje do jednostronnej redukcji sił, bez oczekiwania na reakcje sowieckie. Belgia zapowiedziała obcięcie swej sześciobrygadowej, liczącej 75 tysięcy żołnierzy, armii do 60 tysięcy. Krok ten uznano za niebezpieczny i zaraźliwy. Wielka Brytania walcząca z deficytami swego bilansu płatniczego, może być zmuszona do redukcji swej armii nad Renem, a wpływowi członkowie Kongresu Stanów Zjednoczonych domagają się od prezydenta Johnsona dalszych cięć w liczebności sił amerykańskich w Niemczech zachodnich. Moskwa, nie ruszwszy nawet palcem, może spokojnie się przyglądać osłabianiu gotowości obronnej paktu atlantyckiego, a ponieważ zwiększyła swe wydatki wojskowe, nie zależy jej widocznie na redukowaniu ich ciężaru.

Można w uchwale ministrów atlantyckich widzieć objaw postępującej dekadencji sojuszu, co byłoby zresztą jawiskiem naturalnym u aspidochorytów samą jego genezą. Powstał on w roku 1949 w atmosferze zagrożenia Europy zachodniej przez agresywną politykę sowiecką, był aktem samoobrony ze strony Zachodu. Zabór Czechosłowacji, stalinowska blokada Berlina zapaliły w stolicach zachodnich czerwone światła. Jest kwestią do dyskusji, czy Stalin myślał poważnie o inwazji Europy, lecz ponieważ do inwazji nie doszło, dyplomacja zachodnia w imię zasady *post hoc, ergo propter hoc* uznawała, że pakt spełnił swą rolę prewencyjną.

Upłynęły jednak lata i groźba agresji sowieckiej na Europę zniknęła w przekonaniu powszechnym do zera. Musiało to wpłynąć automatycznie na rozluźnienie paktu, a wystąpienie Francji z jego organizacji było dalszym dla niego ciosem. Rola militarna paktu odeszła na drugi plan, lecz przekonanie o konieczności jego dalszego istnienia pozostało. By jednak zahamować proces rozklejania się jego więzadeł należało poddać jego założenia pierwotne gruntownej rewizji.

Wysunięto w tym celu projekt rozszerzenia sfery działania paktu na sprawy pozaeuropejskie. Sojusznicy mieliby interweniować *en bloc* w kryzysach poza Europą, lecz projekt okazał się niepraktyczny. Zbyt rozbieżne są interesy członków sojuszu poza ramami jego pierwotnej organizacji. Inny projekt wysunięty przez belgijskiego ministra spraw zagranicznych Harmela, domagał się objęcia paktem dziedziny politycznej. „Droga do pokoju i stabilizacji w Europie — głosił ten projekt — prowadzi poprzez konstruktywne użycie sojuszu w interesie odprężenia”. Francja była przeciwna odgrywaniu przez sojusz roli politycznej, obejmującej również takie sprawy jak zjednoczenie Niemiec i zjawienie się orków sowieckich na Morzu Śródziemnym, powiodło się jej wskazać tylko rozwodnienie projektu, który został w zasadzie przyjęty. Trudno powstrzymać się od pewnego sceptycyzmu w ocenie tych prób zgalwanizowania paktu.

Pakt warszawski stoi wobec innych, lecz również działających odśrodkowo, problemów. Powstał on 14 maja 1955 roku, po sześciu latach od powstania paktu atlantyckiego, trudno więc go uważać za replikę na ten alians militarny. U jego genezy nie leżało poczucie zagrożenia. Przypisywanie przez Moskwę paktowi atlantyckiemu celów imperialistycznych jest bajką propagandy, w którą nikt nawet na wschodzie chyba nie wierzy.

LEON KOWNACKI

DWA PAKTY

Co więcej, pakt warszawski podpisano w okresie odprężenia. Mołotow po długich wahaniach zgodził się na traktat pokoju z Austrią, Chruszczow i Bułganin zapowiedzieli swą wizytę w Belgradzie, pierwszą od czasu wykluczenia Jugosławii z Kominformu. Dyplomaci obu stron przygotowywali dossier konferencji na szczycie, która się miała odbyć w końcu lipca w Genewie. Przedmiotem dyskusji był problem bezpieczeństwa europejskiego i problem niemiecki. Republika Federalna należała już do paktu atlantyckiego. Można przyjąć, że intencją sowiecką było po prostu postawienie obozu komunistycznego na równiej formalnie stopie z obozem zachodnim.

Tekst paktu był zresztą kopią tekstu sojuszu atlantyckiego, różnice nie były istotne. Zawarty został na lat 25, gdy pakt atlantycki na lat 20, również z możliwością przedłużania. Zawierał jednak postanowienie odrębne głoszące, że „w razie dojścia do skutku ogólnego systemu bezpieczeństwa europejskiego i podpisania generalnego układu o bezpieczeństwie zbiorowym, traktat niniejszy straci moc obowiązującą w dniu wejścia w życie układu generalnego”. Jednym z celów paktu było zatem nakłonienie krajów zachodnich do podpisania układu o bezpieczeństwie Europy.

Ten problem bezpieczeństwa powtarzał się w różnych uchwalach konwentyki komunistycznych, ostatnio znalazł wyraz w uchwale 24 partii powziętej w kwietniu 1967 roku w

Karlowych Varach. Uchwała ta proponuje zwołanie konferencji wszystkich państw europejskich w celu — jak głosi — „zastąpienia bloków militarnych systemem zbiorowego bezpieczeństwa w Europie. Mimo wojny w Wietnamie, Europa pozostaje nadal punktem niewrażliwym świata, a pakt atlantycki wszedł w okres otwartego kryzysu. Należy w oparciu o rozległy ruch sił pacyfistycznych przeszkodzić odnowieniu bądź usprawnieniu tego sojuszu”.

Bezpieczeństwo Europy wymaga jednak rozwiązania problemu niemieckiego, a w tej sprawie nie mogło dojść do porozumienia. Waszyngton i Bonn uważają zjednoczenie Niemiec za pierwszy warunek bezpieczeństwa europejskiego, Moskwa stawia zagadnienie odwrotnie utrzymując, że zjednoczenie Niemiec może być tylko odległą konsekwencją utworzenia systemu bezpieczeństwa i rozwiązywania bloków militarnych. Pierwszym krokiem ku rozwiązaniu sprawy bezpieczeństwa powinno być, według Moskwy, uznanie przez Zachód Niemiec wschodnich za odrębne państwo niemieckie. Paryż wychodzi z założenia równocześnie i współzależności problemów bezpieczeństwa i zjednoczenia, na co się nie godzą ani Waszyngton ani Moskwa.

Powróćmy jednak do paktu warszawskiego. Dopóki Francja nie wystąpiła z organizacją paktu atlantyckiego i nie ogłosiła, że czyni to w interesie odprężenia, członkowie ko-

munistycznego sojuszu szli w karnym szeregu pod komendą sowiecką. Gdy Sowiety ustępując naleganiom Rumunii wycofali swe wojska z jej terytorium — było to przed 9 laty — nikomu na myśl nie przyszło, że mogło istnieć jakieś napięcie w stosunkach między Bukaresztem i Moskwą. Wycofanie wojsk zrozumiano jako gest sowiecki pod adresem kraju, który, w odróżnieniu od Polski i Węgier, należał do najwierniejszych satelitów Moskwy.

Niezadługo jednak rolę się odwróciły. Polska i Węgry stały się zdyscyplinowanymi członkami obozu sowieckiego, gdy Rumunia poczęła manifestować swą niezależność. Po kontrowersyjnym kroku de Gaulle'a Bukareszt zakwestionował sowiecką hegemonię militarną w sojuszu warszawskim. Ceausescu w przemówieniu z 7 maja 1966 roku wypowiedział się przeciw istnieniu bloków militarnych uznając je za anachronizm sprzeczny z zasadą suwerenności narodowej i fronde swoją potwierdził czynami. Wysunął pod adresem Moskwy żądanie wycofania wojsk ze wszystkich bratnich krajów, odmówił wpłat na utrzymanie wojsk sowieckich na obcych terytoriach i domagał się wprowadzenia systemu rotacyjnego według narodowości w dowództwie sił paktu. Zaprezentował się światu jako kieszonkowiec de Gaulle wschodu.

Nie osiągnął swych celów, lecz udaremnił plany sowieckie wzmocnienia struktury paktu. Wreszcie, Rumunia

wylała się z solidarności komunistycznej nawiązując stosunki dyplomatyczne z Bonn. Ceausescu, zdając sobie sprawę z osłabienia paktu atlantyckiego, przyszedł do przekonania, że nadszedł czas na rozwiązanie bloków militarnych.

Moskwa się z tym nie zgadza odwołując się do postanowienia paktu, że zostanie on rozwiązany dopiero po wejściu w życie układu o bezpieczeństwie europejskim. Konflikt jest zasadniczy.

Gdy się mówi o polityce sowieckiej, trzeba przeważnie opierać się na hipotezach. Pakt warszawski jest konstrukcją sztuczną, nieuzasadnioną względami na bezpieczeństwo, wyciągniętą z treści sieci układów bilateralnych wiążących Sowietów z ich sojusznikami, z wyjątkiem Rumunii. W ręku Moskwy stał się tylko narzędziem presji na osiągnięcie zasadniczego celu polityki sowieckiej, którym jest zachowanie *status quo* w Europie.

Nie jest co prawda jasne, kto by mógł się pokusić o zmianę *status quo* w Europie, lecz Sowietom zdaje się nie wystarczać stan faktyczny. Mimo nierówności sił obawiają się one nadal Niemiec, dążą do utrwalenia układem międzynarodowym tego, co dla Zachodu jest tylko kwestią faktu — podziału Niemiec na dwa państwa. W tym widzą rozwiązanie swego problemu bezpieczeństwa, nie wydaje się jednak, aby poważnie myślały o jego rozwiązaniu w ramach Europy. Za fasadą różnych manewrów sowieckich tkwi stałe dążenie do globalnego długoterminowego porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi. Na drodze stoi wojna w Wietnamie i — de Gaulle.

WACŁAW NETTER

Przeobrażenia socjalne wsi polskiej

W WYNIKU drugiej wojny światowej Polska znalazła się w sferze wpływów Komunistycznej Rosji. W związku z tym nastąpiła zmiana systemu rządów i form gospodarki narodowej, zgodnie z zasadami marksizmu i praktyką Związku Sowieckiego. Państwo stało się właścicielem środków produkcji: ziemi i bogactw naturalnych oraz przejęło w swe ręce rozdział dóbr konsumpcyjnych i zakłady użyteczności publicznej. Fabryki, kopalnie, warsztaty i inne przedsiębiorstwa wytwórcze zostały upaństwowione, oczywiście bez żadnego odszkodowania dla poprzednich właścicieli. O ile chodzi o ziemię w znaczeniu pól uprawnych, to zastosowano tu inną procedurę.

Tuż po zakończeniu wojny przeprowadzono reformę rolną. Polegała ona na tym, że zabrane właścicielom ziemskim majątki bądź rozdzielono między drobnych lub bezrolnych chłopów lub też stworzono z tych majątków państwowe gospodarstwa rolne (sowchozy). Służba folwarczna zmieniła więc tylko panów z tym, że warunki jej uległy pogorszeniu. Państwo nie gwarantowało jej ani stałych opłat w gotówce, ani podstawowych środków do życia, jakie otrzymywali poprzednio od dziedziców.

O ile chodzi o chłopów małorolnych, którym przyznano działki ziemi, to musieli oni zobowiązać się do ratulnych spłat oraz do dostaw przymusowych ziarna i żywności na rzecz państwa, po cenach przez władze ustalonych na bardzo niskim poziomie. Był to więc haracz nie byle jakie wzięty pod uwagę fakt, iż ziemia rozdzielona pochodziła ze skonfiskowanych majątków. Rolę wyszedł bardzo dobrze na tej transakcji, gdyż sprzedawał ziemię, za którą nie zapłacił ani grosza. Gospodarstwa mniejsze do 10 a nawet 20 hektarów pozostały w rękach dotychczasowych posiadaczy, którzy również musieli dostawiać zboże i inne produkty państwu, oraz płacić wygórowane podatki. Na dłuższą metę nikt jednak nie był pewien swej własności. Kolektywizacja rolnictwa była jednym ze sposobów realizowania komunizmu. Przykład Rosji Sowieckiej razem ze straszącymi przesładowaniami, wywożkami ludności i głodem narzucał się mimo woli polskim chłopom. Przywiązanie do ziemi było jednak silniejsze ponad wszystko. Każdy rolnik niezależnie od ilości posiadanych hektarów zabrał się do pracy. Ziemia rodzi chleb, stąd to naj-

silniejsze uczucie jakie człowiek ma do swych gruntów. Fabryki, kamienice, domy starzeją się, ulegają zniszczeniu przez wojny, burze, pożary i inne kataklizmy. Przedmioty codziennego użytku: wozy, meble, urządzenia gospodarskie, tracą wartość. Ziemia jest wieczna. Przechodzi z ojca na syna, z pokolenia na pokolenie. Wiąże ze sobą tych co na niej pracowali w przeszłości z tymi co orać będą w przyszłości. Człowiek osiadły na roli czuje się wolny i niezależny. Nie na darmo mówiono przecież w dawnej Polsce, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. Obcowanie z naturą uodparnia istotę ludzką przeciw trudnościom i przemijającym zmianom. Człowiek pracujący na roli wrasta korzeniami w glebę i nie daje się z niej usunąć. Co zasiał musi zebrać. Oczywiście to przywiązanie do ziemi miało pewne granice. Gdy scheda była niewielka, a siedział na niej chłop z kilkoma synami, marzeniem jego było, by jeden z nich pozostał na gospodarstwie, a reszta poszła do innych zawodów. Nie przyszła mu jednak nigdy myśl do głowy, by sprzedać swą ziemię i z całą rodziną przenieść się do miasta. Chłop uważał, że w żadnym wypadku nie należy pozbywać się ziemi.

Ta niezależność i przywiązanie rolników do swych gospodarstw drażniły nowych władców Polski. Były to główne przeszkody na drodze do kolektywizacji. Władze zdawały sobie sprawę, iż chłop wywłaszczony ze swej zagrody, staje się niepewny swego losu, zgnębiony, przestraszony i bardziej podatny na propagandę. Łatwiej daje się urobić w pożądanym kierunku. Dlatego też rząd rozpoczął forsowną kolektywizację. Indywidualnych chłopów poddano silnemu uciskowi administracyjnemu. Posypały się kary za opóźnienia w dostawach, zwiększono podatki, nastąpiły konfiskaty zboża, trzody i ziemi. Opornych rolników posyłano do więzień. W roku 1955 już ponad 20% uprawnych gruntów w Polsce zostało skolektywizowanych. Chłop stawiał opór wszystkimi możliwymi sposobami. Odmawiał współpracy z władzami, sabotował dostawy przymusowe żywności i ziarna, zmniejszał wydajność z hektara. Sytuacja taka trwała do końca 1956 roku. Po przewrocie październikowym nastąpił rozpad kolchozów. Tylko nieliczne gospodarstwa państwowe udało się utrzymać w niezmienionej formie. Zdawało się, że

reżim zaniecha kolektywizacji. Przez kilka lat trwała cisza na tym polu, a chłopów zostawiono w spokoju. Gdy udało się reżimowi opanować parcie narodu ku dalszej liberalizacji, zwrócono się znowu ku zagadnieniu wsi. Teoretycy komunistyczni opracowali nowe metody przejęcia ziemi z rąk indywidualnych gospodarzy. Rząd postanowił przyjąć z pomocą tym chłopom, którzy stworzą kółka rolnicze. Kółka miały otrzymywać nawozy sztuczne, maszyny i ziarno po zniżonych cenach lub nawet bezpłatnie, pod warunkiem, że gospodarze będą pracować wspólnie na swoich polach. Miał to być rodzaj wspólnoty i prowadzić do kolektywizacji od dołu bez nacisku władz. Równocześnie wprowadzono przepisy ograniczające handel ziemią, określające kto jest rolnikiem i kto ma prawo nabywać ziemię. Wprowadzono też przepisy o przejmowaniu przez państwo gospodarstw źle prowadzonych, niewydajnych i zaniebanych. Wszystkie te zarządzenia nie dały jednak oczekiwanych rezultatów. Ostatnio rząd wystąpił z nowym projektem. Gospodarzom bez następców ma się płacić renty starcze wzamian za przekazanie państwu posiadanej ziemi. Oczywiście renta sama w sobie jest godna uznania i powinna być wypłacana chłopom po skończeniu prawem przepisane wieku podobnie jak się to dzieje w innych zawodach. Tak jak to obecnie wygląda w projekcie, będzie to jeszcze jeden sposób odebrania gospodarstwa prawnemu posiadaczowi.

Polityka ekonomiczna rządów komunistycznych kładzie nacisk na uprzemysłowienie. Marksisci mają swoją *idée fixe* na tym punkcie. Stąd uparte i za wszelką cenę usiłowania państw satelickich do uprzemysłowienia. Ta polityka w Polsce spowodowała po części przymusową, a po części dobrowolną wędrowną ludności ze wsi do miast. I tak gdy przed wojną 60% mieszkańców zatrudnionych było w rolnictwie, to obecnie liczba ta spadła do 38%. Prąd ten miał strony zarówno dodatnie jak też i ujemne. Wsie przedwojenne były przełudnione, miała nadmiar rąk do pracy. Gospodarstwa ulegały powolnemu kariawaceni przez kolejne podziały między synów. To rozdrobnienie hamuje rozwój gospodarstw i czyni je niewydajnymi i nieopłacalnymi. Obecne możliwości znalezienia pracy w miastach stwarzają lepsze warunki dla gospodarstw rolnych. Młodzi lu-

dzie ze wsi idą bądź do fabryk, bądź też do szkół. Nie grozi już podział ziemi na mniejsze działki. W porównaniu do państw zachodniej Europy w Polsce jest jeszcze ciągle za dużo ludzi zatrudnionych w rolnictwie. Unowocześnienie sprzętu, traktory zamiast koni, maszyny zamiast kosy i cepów, pozwolą na zmniejszenie ilości pracujących na roli. Z drugiej strony kolektywizacja, do której prze reżim, nie daje gwarancji zwiększenia wydajności ziemi, zredukowania robotników rolnych i lepszej gospodarki. W ślad za upaństwowieniem postępuje biurokracja. Rosną szeregi urzędników, kierowników kolchozów, buchalterów, kontrolerów, inspektorów i innych darmożjadów. Dotychczasowe kolchozy zarówno w Rosji jak też i w Polsce wykazywały wyraźnie, iż są one deficytowe, niewydajne i państwo musi dopłacać do ich istnienia.

Ucieczka ludności ze wsi do miast w Polsce stworzyła inne jeszcze problemy. Nastąpiło rozluźnienie więzi społecznej i rodzinnej. Chłop, który wykształcił się lub też znalazł pracę w mieście, nie śpieszy się z powrotem do swego środowiska. Uważa się za coś lepszego od swych ziomków. Nasiąka mentalnością plebsu miejskiego, który ma pogardę dla kmiotka. Przystaje być solidarny z gromadą wiejską. Pojęcie sąsiedztwa wśród gospodarzy uległo również zmianie. Dawniej tworzyli oni rodzaj wspólnoty wiejskiej w pojęciu solidarności. Przychodzili sobie z pomocą w czasie potrzeby lub nieszczęść. Dziś wzajemne stosunki opierają się więcej na odpłatności. Wzrosła wzajemna podejrzliwość na skutek tego, że udało się władzom pozyskać w każdej gromadzie jednego lub kilku bezrolnych lub małorolnych i leniwych chłopów. Są oni oczkiem w głowie reżimu i stanowią siatkę informatorów. Dlatego, gdy gospodarz potrzebuje dziś dodatkowej siły roboczej, nie wynajmuje biedniejszego sąsiada, lecz udaje się do innej wsi i tam szuka robotnika. Ma wtedy większą pewność, że nie będzie się on zbyt interesował jego sprawami. W ten sposób dawna tradycja więzi gromadzka ulega powoli dezintegracji. Chłop nieufny z zasady nie wierzy obecnie nikomu. Ani władzom, ani urzędnikom, ani agitatorom, ani nawet członkom własnej rodziny, którzy przenieśli się do miasta. Jedynym

(Dokończenie na str. 4)

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

Z NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

TRAKTAT WERSAŁSKI (I)

MÓWI SIĘ zazwyczaj o „pokoju wersalskim“ i o „systemie wersalskim“, mając na myśli porządek polityczny, jaki zapanał w Europie i w świecie po pierwszej wojnie światowej. W rzeczywistości traktat wersalski z dn. 28 czerwca 1919 r. był tylko jednym z pięciu traktatów pokojowych wypracowanych w czasie paryskiej konferencji pokojowej.*) Ponieważ jednak był zawarty jako pierwszy, z głównym przeciwnikiem wojennym, Rzeszą Niemiecką, miał on największy rozgłos i był niewątpliwie najważniejszy. Po traktacie wersalskim z Niemcami przyszły traktaty: w St. Germain-en-Laye z Austrią, w Neuilly z Bułgarią, w Trianon z Węgrami i w Sèvres z Turcją. Wszystkie one składały się na ów szerszy „system wersalski“, wraz z pierwszym traktatem, zawartym w Wersalu 28 czerwca 1919 roku.

Dla Polski traktat wersalski tym bardziej był najważniejszy, że tylko on dotyczył naszych spraw w pełnym zakresie, regulując kwestię granicy polsko-niemieckiej, statutu wolnego m. Gdańska, przyszłych plebiscytów na Górnym Śląsku i na obszarach Prus Zachodnich i Prus Wschod. oraz stanowiąc o szeregu in. kwestii. Polska uczestniczyła również w zawieraniu traktatów w St. Germain i w Trianon, jako jedno z „państw sukcesyjnych“ dawnej Monarchii Austriacko-Węgierskiej. Traktaty te jednak nie zawierały żadnych postanowień odnoszących się bezpośrednio do Polski. W tekście ich Polska w ogóle nie figuruje. Nie postanawiały one niczego o naszych granicach, czy to jeśli chodzi o dawną Galicję, czy o Śląsk Cieszyński, czy rejony polskie na Spiszu i Orawie w b. królestwie węgierskim. W sprawach tych bowiem nie doszło do porozumienia w czasie, gdy traktaty te były negocjowane — i w końcu rozstrzygnięły o nich główne mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone.

Odpowiednikiem niejako tego rozróżnienia były dwa odrębne, wielkie kompleksy zagadnień, wobec których stanęła delegacja polska w Paryżu. Pierwszy pozostawał w związku ze sprawą granicy polsko-niemieckiej i naszych postulatów na zachodzie. Drugi dotyczył wszystkich innych naszych terytorialnych postulatów, przede wszystkim przyszłej wschodniej granicy Polski, na drugim zaś miejscu rozgraniczenia z Czechosłowacją. Sprawa granicy polsko-niemieckiej nasuwała największe trudności, wymagając nieustannej czujności z polskiej strony, na nią bowiem zwrócona była główna ofensywa niestrudzonego

przeciwnika Polski na konferencji pokojowej, premiera brytyjskiego Lloyd George'a. Zadanie delegatów polskich było tutaj przez to niezwykle utrudnione, że sprawa ta znajdowała się całkowicie w ręku mocarstw. Ich więc rola, bardzo ograniczona, polegać mogła głównie na „advokowaniu“ stanowiska polskiego wobec Rady Najwyższej i wobec powołanej przez nią Komisji dla spraw polskich pod przewodnictwem Francuza, b. ambasadora Cambona. Była to rola defensywna i z pozycji biernej. Decyzje zapadały bowiem z reguły poza wiedzą Polaków, a jeśli nawet w ich obecności, to bez żadnego sposobu przeciwstawienia się z ich strony.

Inaczej przedstawiała się rzecz, jeśli chodzi o inne nasze sprawy, zwłaszcza na wschodzie i południowym wschodzie. Tam mogli Polacy stwarzać pewne fakty dokonane i z czasem występować już jako „beati possidentes“ wobec zagniewanych przedstawicieli mocarstw. Gniew ich nie był jednak bezsilny. Przede wszystkim dysponowali oni atutami, którymi mogli delegatowi polskiemu grozić — i nie na próżno. Najważniejszym atutem była kwestia ich stanowiska wobec spraw politycznych na zachodzie, takich jak problem Gdańska lub Górnego Śląska, ale były i inne sprawy żywotne, dostaw broni itp. Wreszcie byli to naprawdę mocarstwa, wciąż jeszcze posiadający miliony pod bronią i groźby ich nie można było żadną miarą lekceważyć. Trzeba więc było dużą pomysłowość, żelaznej logiki i zręczności argumentów Dmowskiego, by umieć interesy Polski przedstawić w taki sposób, który by je wiązał z polityką mocarstw na wschodzie, rozbrajając ich zastrzeżenia. Trzeba było także — w późniejszym czasie — złozonej wymowy i osobistego czaru Paderewskiego, by irytację niektórych wpływowych mężów stanu alianckich łagodzić i po zbyt stanowczych niekiedy słowach Dmowskiego łać oliwę. Bez tej ich dyplomatycznej sztuki jest bardzo wątpliwe, czy Polska posiadałaby Wschodnią Małopolskę, ówczesną Wschodnią Galicję „aż po Zbruczę“, wraz ze wspólną granicą polsko-rumuńską i z wyjściem na północ i wschód, na tzw. Kresy. Bez tej sztuki i bez ich niestrudzonej akcji propagandowej w najlepszym rozumieniu, nie wiadomo, czy i na zachodzie uzyskałaby Polska cokolwiek poza zredukowanym obszarem Poznańskiego i tym „wolnym“ dostępem do Bałtyku, poprzez niemieckie terytorium państwowe, którym chciał ją obdarzyć Lloyd George.

„ZNAKOMITE EXPOSÉ“

Dla Dmowskiego okazją do posłużenia się tą jego sztuką na konferencji pokójowej przyszła bardzo szybko. 29 stycznia (1919) został on zaproszony na posiedzenie Rady Najwyższej, zwołane w związku z mającym wkrótce nastąpić wysłaniem do Polski pierwszej międzyaliantkiej misji wojskowo-dyplomatycznej z gen. Niessel (Francuzem) na czele. Jak pisze Dmowski („Polityka polska“), nie był on powiadomiony o porządku dziennym posiedzenia, z udziałem wyjątkowo liczego audytorium, poki premier Clemenceau nie zwrócił się do niego z prośbą, by „mówił o kwestii polskiej“. Prezydent Wilson uzupełnił to zaproszenie słowami:

— Myśmy postanowili p. Dmowskiego prosić, ażeby nam przedstawił obecne położenie Polski i wskazał, czym jej możemy pomóc.

Nastąpiło znane exposé Dmowskiego, świetnie wypowiedziane, na przemian po francusku i po angielsku, którym zaimponował nawet Lloyd George'owi. Wspomina on o tym przemówieniu w swoich pamiętnikach („The truth about the peace treaties“), określając Dmow-

skiego słowami: „a very able and cultured Pole of the name of Dmowski“. Dmowski przedstawił w nim najpierw aktualne położenie Polski, kładąc nacisk na wiążące, zapalne sprawy, wymagające natychmiastowej interwencji mocarstw alianckich. Taką sprawą był przede wszystkim stan wojny polsko-niemieckiej na terenie Wielkopolski. Rada Najwyższa wydała poprzednio odezwę wyzywającą obie strony do zaprzestania walk — i na tym poprzestała. Dmowską wskazywał, że „stosunek Polaków i Niemców do Rady Najwyższej nie jest jednakowy, że kiedy Polacy będą sobie uważali za obowiązek jej usłuchać, Niemcy mogą dalej wojować i tym sposobem odezwą będzie zabójcą dla strony polskiej“. Dowodził więc, że nie wystarczy wydać odezwę, lecz „trzeba narzucić rozejm, wysłać komisję, która ustanowi linię demarkacyjną między walczącymi stronami“. Punkt widzenia Dmowskiego został przez Radę Najwyższą przyjęty — i niedługo, pod naciskiem mocarstw, istotnie doszło do rozejmu w Poznańskim.

„Gdy zbliżał się ku końcowi mego przemówienia — pisze Dmowski — Clemenceau zapytał mnie, czy gotów jestem w dalszym ciągu przedstawić żądania terytorialne

Polski. Skwapliwie się na to zgodziłem, choć widziałem, że niektórzy z członków Rady niechętnie przyjęli tę inicjatywę przewodniczącego. Niezwłocznie przeszedłem do wykładu i uzasadnienia programu granic Polski“.

Dmowski posługiwał się w swoim wykładzie mapami. Jedną z nich w wymowny sposób ilustrowała postępy niemieczyzny na ziemiach zachodnich, w rezultacie działalności pruskiej komisji kolonizacyjnej — i na widok jej Wilson „szeroko otworzył oczy“. Jak przyznaje Dmowski, w przemówieniu swoim niewiele robił wysiłku w kierunku Wilsona, „wiedząc jak silnie pracują u niego wrogi nam siły“.

Mówiąc o Pomorzu i o Prusach Wschodnich Dmowski zauważył:

„Kwestia niemiecko-polska nad Bałtykiem została przez historię tak zawiłana, że nie można jej dziś rozstrzygnąć bez niczyjej krzywdy. Albo dwumilionowa blisko wyspa niemiecka w Prusiech Wschodnich będzie odcięta od swej niemieckiej ojczyzny, co sobie będzie uważała za krzywdę; albo sięgająca brzegu morskiego ludność polska w Prusiech Zachodnich będzie wystawiona na zagładę, a z nią dwudziestopięciomilionowy naród polski na niemożność stworzenia prawdziwie niezawisłego państwa i w konsekwencji na zalew niemiecki. A to będzie krzywdą, z którą tamta nie może się mierzyć“.

Dmowski objął swym exposé całość zagadnień terytorialnych Pol-

ski, obszerniej omawiając sprawę Śląska Cieszyńskiego, z uwagi na spór pol.-czeski oraz sytuację na terytorium Wschodniej Galicji, gdzie toczyły się walki polsko-ukraińskie. Punkt widzenia polski w sprawie Cieszyńskiego Dmowski uzasadniał warunkami etnicznymi tego obszaru. Jeśli chodzi o Wschodnią Galicję, przyznawał on, że jest terenem spornym, w którym większość ludności stanowią Rusini. Wskazywał on jednak na brak u tej większości warstw intelektualnych, niezbędnych dla uformowania jakiegokolwiek administracji (według Dmowskiego było na terenie Wschodniej Galicji 400.000 inteligencji polskiej oraz 16.000 inteligencji ukraińskiej). Dmowski wskazywał również na austriacko-niemiecką genę akcji ukraińskiej oraz radykalny społecznie charakter ruchu ukraińskiego, który pozbawiony odpowiedzialnych przywódców przybrał kierunek niebezpieczny dla życia ogromnej większości spokojnej ludności Wschodniej Galicji.

Po zamknięciu posiedzenia Clemenceau żegnając się z Dmowskim powiedział:

— Pańskie exposé było znakomite, ale w kwestii cieszyńskiej nie ma pan słuszności.

Słowa te — jak twierdzi Roman Dmowski — były potwierdzeniem jego dawniejszego już przeświadczenia, „że jedyna kwestia terytorialna, w której będziemy musieli walczyć z Francją — to Cieszyn“.

CIESZYN

Problem cieszyński wypłynął na wokandę konferencji pokojowej jako jedna z naszych spraw „spornych“, którymi Rada Najwyższa zajmować się miała w trybie nagłym, niezależnie od prac przygotowawczych komisji terytorialnej dla spraw polskich. Problem ten, a z nim i konflikt, mający zaciążyć na całej dalszej historii stosunków polsko-czeskich, powstał właśnie w tym czasie w wyniku niezrozumiałej zachłanności Czechów. 26 stycznia (1919) oddziały czeskie podstępnie napadły na pogranicze polskie na b. Śląsku Austriackim i zajęły cenny obszar węglowy na wschód od tymczasowej linii demarkacyjnej z 5 listopada 1918 r., oznaczonej przez lokalne czynniki polskie i czeskie zgodnie z warunkami narodowościowymi. Ta lekkomyślna agresja czeska zerwała węzły dotychczasowej współpracy polsko-czeskiej z czasu wojny, otwierając zatarę między narodowy. Sporem zajęły się mocarstwa w Paryżu, idąc wyraźnie na rękę Czechom. Pod ich naciskiem doszło dnia 2 lutego 1919 r. do ugody, w której Polska, pozostawiając na razie zagarnięte przez Czechów rejony w ich ręku, zgodziła się, by spór o nie rozstrzygnęła konferencja pokojowa, po zbadaniu na miejscu sytuacji przez komisję międzysojuszniczą. Sprawa ta przechodziła różne koleje od tego czasu. Kiedy próba ostatecznej ugody wobec złej woli Czechów nie powiodła się, zapadło postanowienie, by o losach spornej części Cieszyńskiego i rejonów pogranicznych na Spiszu i Orawie zdecydował plebiscyt. Czesi oraz ich protektorzy wiedzieli jednak, że plebiscyt taki przyniosłby niezawodne zwycięstwo stronie polskiej. Toteż w przededniu plebiscytu, który odbyć się miał w krytycznym dla Pol-

ski czasie, w lipcu 1920 r. w momencie zagrożenia bolszewickiego, wymuszono na niej zgodę, by spór rozstrzygnęły mocarstwa bez plebiscytu. Uczyniły to one 28 lipca 1920 r. za pośrednictwem Rady Ambasadorów w Paryżu, z drastycznym pokrzywdzeniem praw Polski i polskiej ludności na spornych obszarach.

Niepomyślny dla Polski obrót sprawy cieszyńskiej był w dużej mierze wynikiem tego, że Francja, która we wszystkich innych naszych sprawach na konferencji zdecydowanie nas popierała, lub przynajmniej szła na rękę, tutaj wzięła stronę Czechów. Stało się to w następstwie poufnego porozumienia na temat przyszłych granic Czechosłowacji, zawartego jeszcze we wrześniu 1918 r. pomiędzy działającym w Paryżu politykiem czeskim Beneszem a ministrem spraw zagranicznych Francji Pichonem. Pichon, zresztą przyjazny Polsce, w sprawach narodowościowych Cieszyńskiego z pewnością nie bardzo się orientował — i jak sam Benesz przyznaje to w swoich pamiętnikach, został przez niego w błąd wprowadzony. Później, kiedy zaistniał spór polsko-czeski, a Czesi dowodzili, że bez karwińskiego zagłębia węglowego ich przemysł nie może egzystować, Pichon i Clemenceau najwidoczniej uwierzyli w to. Wobec Polaków nie musieli mieć wielkich wyrzutów sumienia, rozumiejąc, że za to otrzymają o wiele bogatszy rejon węglowy, na Górnym Śląsku.

Jeśli chodzi o stanowisko innych mocarstw, to tylko Amerykanie popierali aspiracje Polski zgodnie z warunkami etnicznymi, lecz w końcowym stadium sprawy w decyzjach mocarstw już nie brali udziału.

WSCHODNIA GALICJA

Odmienne przebieg miała druga z tych spraw i n y d e n t a l n y c h, którymi zajęła się konferencja pokojowa już na samym wstępie: sprawa Wschodniej Galicji. Sprawa ta od dawna czekała na zainteresowanie się nią mocarstw. Walki polsko-ukraińskie toczyły się na terenie Wschodniej Galicji od początku listopada i rozgłos ich, a zwłaszcza rozgłos obrony Lwowa, był duży. Reakcje mocarstw były w tej sprawie rozmaite, choć na ogół raczej życzliwe Polsce. Tylko Anglia zaję-

zwróciły się one do Komitetu Narodowego po informacje, nie mając na razie urobionego zdania w tej sprawie. Komitet Narodowy wszystkim dawał to samo objaśnienie. Tłumaaczył, że jeżeli zaistniała na terenie Wschodniej Galicji jakaś „agresja“, to chyba tylko ze strony Ukraińców. Oni bowiem rozpoczęli walkę przez zamach zbrojny w nocy dnia 31 października 1918, który był uplanowany i przeprowadzony przy pomocy władz cywilnych i wojskowych austriackich i niemieckich. Do objęcia władzy w tej części Galicji nie mieli Ukraińcy żadnego upoważnienia ze strony mocarstw sprzymierzonych, z którymi nie posiadali jeszcze nawet w tym czasie żadnego kontaktu, nie mówiąc o uznaniu. Przeciwnie, byli do końca wiernymi sojusznikami mocarstw centralnych.

Rząd francuski, mający niemal codzienny kontakt z Komitetem Narodowym, był stosunkowo najlepiej zorientowany w sytuacji na terenie Wschodniej Galicji. Był również najbardziej skłonny do dopomożenia Polsce w ciężkiej sytuacji, jaka tam w tym czasie zaistniała. W tym celu, z polecenia marszałka Focha, udał się do Lwowa w połowie stycznia 1919 r. drogą na Pragę i Budapeszt, gen. Barthélemy. Po blisko 3-tygodniowym pobycie w stolicy Wschodniej Małopolski wyjechał on entuzjastycznie usposobiony dla Polski oraz przekonany o słuszności stanowiska polskiego w sprawie Lwowa. W tym duchu przekazał swą relację Fochowi, stwierdzającą, że Lwów, którego „ludność z takim bohaterstwem broni ojczystego miasta“, powinien należeć do Polski. Na rząd francuski czynione były co prawda naciski, zarówno ze strony emigracyjnych kół rosyjskich, jak i polityków czeskich, zabiegających o wspólną granicę czesko-rosyjską, w kierunku tezy o „rosyjskości“ Wschodniej Galicji. Naciski te nie odniosły jednak skutku. Złazcza od chwili, gdy w marcu 1919 r. doszło na Węgrzech do przewrotu komunistycznego Beli Kuhna i kiedy zaistniała perspektywa przeniesienia z Rosji bolszewizmu w głąb Europy, w Paryżu przeważała teza głoszona przez Dmowskiego: o potrzebie wspólnej granicy polsko-rumuńskiej.

Niemniej życzliwie odniósł się do stanowiska polskiego rząd amerykański, do czego w dużym stopniu przyczynił się nasz przyjaciel amerykański prof. Lord, który podobnie jak gen. Barthélemy odwiedził Lwów w czasie oblężenia. Jednak i w Waszyngtonie nie brak było niechętnych Polsce tendencji. Interesująca jest wymiana telegramów z początku stycznia 1919 r. pomiędzy sekretariatem stanu w Waszyngtonie oraz delegacją amerykańską w Paryżu, na czele której stał prezydent Wilson i sekretarz stanu Lansing. Sekretariat prosił w imieniu ministra wojny (secretary of war) o decyzję prezydenta zakazującą rekrutacji w Ameryce ze strony „zagranicznych rządów“ (chodziło o rekrutację do armii Hallera), podając w uzasadnieniu, że „Polacy podejmują krok nieprzyjacielskie przeciw przyjaznym narodom“. Odpowiedź z Paryża, chociaż nieco bala-mutna w treści, nie pozostawiała żadnej wątpliwości co do sympatii dla Polski samego prezydenta oraz jego otoczenia. Brzmiała ona:

„Stosownie do informacji zebranych w tej sprawie nie ma żadnych działań wojennych między Polakami a Czechosłowakami, jedynym sąsiednim narodem, który mógłby być określany jako przyjazny. Zdaje się natomiast, że wojska litewskie we Wschodniej Galicji rozpoczęły walkę. Wojska te wspierane przez Niemców i Austriaków nie bardzo by mogły być określone jako armia przyjaznego narodu. Innymi sąsiednimi narodami, z którymi Polacy walczą, są Niemcy i Bolszewicy...“

Życzliwe było również stanowisko rządu włoskiego. Życzliwość jego w tej sprawie płynęła zdaje się z obawy, aby Wschodnia Galicja nie do-

(Dokończenie na str. 4)

*) p. artykuł „Konferencja pokojowa 1919 r.“, „Myśl Polska“ z 1 grudnia 1967.

TRAKTAT WERSALSKI

(Dokończenie ze str. 2)

stała się w końcu Rosji, czego skutki mogłyby zagrażać interesom Włoch w środkowej Europie i na Bałkanach. Takie tłumaczenie daje b. poseł włoski w Warszawie od r. 1919, Tommasini w swojej książce pt. „Odrodzenie Polski” („La risurrezione della Polonia“):

„Jest rzeczą widoczną, że włączenie Galicji Wschodniej do Rosji byłoby poważnym niebezpieczeństwem dla politycznej równowagi europejskiej i dla interesów włoskich... Nie możemy nie zdawać sobie sprawy z niebezpieczeństwa panslawistycznej Rosji, która by w Galicji dotarła do Karpat, przekroczyła je na Rusi Podkarpacie, uzyskując dostęp terytorialny do Czechosłowacji, której nie brak żywiołów panslawistycznych, ażeby następnie zejść aż do dorzeczy Cisy. Natomiast przyłączenie Wschodniej Galicji do Polski zapewniłoby tej ostatniej wspólną granicę z Rumunią, państwem romańskim, zainteresowanym tak jak Polska w zahamowaniu powrotu napastliwego imperializmu rosyjskiego.”

Faktem jest, że w czasie decydujących dyskusji w Paryżu w sprawie losu Wschodniej Galicji w czerwcu 1919 r., włoski minister spraw zagranicznych Sonnino, razem z Pichonem i z Lansingiem, wypowiadał się za oddaniem nad nią władzy Polsce, a nie jakiemś „wysokiemu komisarzowi” z ramienia Ligi Narodów, jak chciał Balfour. Pod tym względem stanowisko Sonnino zasadniczo różniło się od stanowiska przedstawicieli Włoch w komisji Cambona, b. ambasadora włoskiego w Petersburgu markiza della Torretta. Ten popierał pretensje emigracyjnych Rosjan do granicy „etnograficznej” z Polską i był jednym z autorów tzw. tymczasowej granicy wschodniej Polski, na północ od b. Galicji.

Polska nie była więc bez sprzymierzeńców w swej walce dyplomatycznej o Lwów i Wschodnią Galicję. Nie była to jednak walka prosta, zmierzała bowiem do podwójnego celu: 1) zapobieżenia podziałowi tej prowincji oraz 2) wszelkiemu prowizorium przyszłej władzy Polski nad nią. Innymi słowy chodziło o wywalczenie u mocarstw prawa Polski do całej Wschodniej Galicji i z pełnym tytułem suwerenności.

W pierwszej fazie walka ta, z wielką energią prowadzona przez Dmowskiego, zwracała się głównie przeciwko pierwszemu z tych dwóch groźnych niebezpieczeństw. Wiązała się ona ze staraniami mocarstw w kierunku przeprowadzenia rozejmu, połączonych z tymczasowym podziałem Wschodniej Galicji, pozostawiającym każdą z walczących stron przy części

jej terytorium. Takie było zadanie komisji sojuszniczej, która przybyła do Lwowa przy końcu lutego 1919 r. — i nawet doprowadziła do rozejmu, ale rozejm ten został po paru dniach przez Ukraińców zerwany.

W tym czasie Ukraińcy posiadali dużą przewagę nad Polakami i nie chcieli się wiązać żadnym rozejmem, dopóki nie zdobędą Lwowa. Sytuacja obrońców Lwowa, chwilowo odciętego zupełnie od zachodu, z przerwaniem komunikacji z Przemyślem, była wówczas rozpaczliwa. Stąd pojawiały się i pomysły rozpaczy, którym trzeba się było przeciwstawiać. Dmowski pisał, że przyszła do niego z kraju prośba, „ażeby wyjednać zajęcie Galicji Wschodniej przez wojska alianckie”. Odmówił on jednak stanowczo zrobienia jakichkolwiek kroków w tym względzie, był bowiem pewien, „że gdyby taka okupacja nastąpiła, my byśmy już do tego kraju nie wrócili”. Równie stanowczo odmówił przybyłej z kraju delegacji, która prosiła, by przy pomocy mocarstw przeprowadzić rozejm z Ukraińcami. „Byli to ludzie zacięci, patriotyczni, którzy boleli nad ofiarą walki, nad dziećmi ginącymi w obronie Lwowa, którzy chcieli przerwać tę tragedię”. Dmowski dzielił ich troskę, ale oświadczył im, że „nie ma ofiar, których nie należy ponieść, żeby utrzymać się w posiadaniu tej naszej ziemi” i że jeżeli „chcemy ją posiadać, musimy własnymi siłami tę wojnę ruską zlikwidować...”

Toteż Dmowski wzmógł w tym czasie starania o wysłanie do Polski armii Hallera, co napotykało jednak na duże trudności. Z jednej strony bowiem, właśnie ze względu na walkę we Wschodniej Galicji, pewne koła alianckie starały się możliwie jak najdłużej zatrzymać tę armię polską na zachodzie, aby nie mogła przynieść rozstrzygnięcia, którego sobie nie życzyły. Z drugiej strony przez pewien czas armia Hallera interesował się marszałek Foch, pragnąc użyć jej dla szerszych planów, interwencji sprzymierzonych na wschodzie. Z tych powodów sprawa odesłania oddziałów polskich z Francji przewlekła się. Wreszcie na usilne zabiegi Dmowskiego z Paryża a Pilsudskiego z Warszawy, Najwyższa Rada Wojenna Sprzymierzonych postanowiła 17 marca (1919 r.) wysłać na razie część tych oddziałów do Polski.

Zanim to jednak nastąpiło, sytuacja pod Lwowem znacznie się poprawiła. Na początku kwietnia nadeszły posiłki z Wielkopolski. Z ich udziałem podjęta została w same święta wielkocenne ofensywa polska, która Ukraińców odrzuciła daleko poza okolice miasta, otwierając nowy, zwycięski już okres wojny.

RAPORT KOMISJI CAMBONA

Tymczasem Komisja dla spraw polskich, która jak przyznaje Dmowski „pracowała rzetelnie i bezstronnie”, 12 marca jednomyślnie uchwaliła swój raport w sprawie granicy polsko-niemieckiej. Wnioski jego były na ogół dość zbliżone do postulatów zgłoszonych przez delegację polską w jej nocie z 29 lutego. Istotne były dwie różnice. Komisja wypowiedziała się za przeprowadzeniem plebiscytu na południowej części Prus Wschodnich, tj. na Mazowszu pruskim, co odraczając sprawę i puszczając ją na los wojny propagandowej z Niemcami stawiało postulat polski pod znakiem zapytania. Komisja nie wzięła również pod uwagę zalecenia Dmowskiego utworzenia z niemieckiej części Prus Wschodnich autonomicznego terytorium, trwale odłączonego od Rzeszy i poddanego kontroli Ligi Narodów. Komisja wypowiadała się za to za bezwarunkowym przyznaniem Polsce nie tylko Poznańskiego i Pomorza (Prus Zachodnich) z Gdańskiem jako integralną częścią terytorium polskiego oraz z szerokim pasem po prawym brzegu Wisły (rejon kwidziński), lecz również całego polskiego Śląska Górnego (wraz ze skrawkami powiatów sycowskiego i namysłowskiego na Środknim Śląsku). W stosunku do linii granicznej żądanej przez delegację polską, granica pro-

ponowana przez komisję Cambona różniła się tylko nieznacznie, nie zapakajając postulatów polskich na drobnych odcinkach, bardziej trzymając się zasady etnicznej.

Dmowski pisał („Polityka polska”), że nie uważał „tej decyzji za nasz tryumf, jakkolwiek Polacy w Paryżu byli na ogół uradowani”. Był on zaniepokojony wnioskiem komisji w sprawie plebiscytu na Mazowszu pruskim, co mogło się stać niebezpiecznym precedensem w dalszym toku sprawy przed Radą Najwyższą. Nie był też zachwycony odrzuceniem jego argumentów na rzecz oderwania reszty Prus Wschodnich od Niemiec. Nie ulega jednak wątpliwości, że w sumie wnioski komisji były dla Polski korzystne — i że dużym sukcesem było jej stanowisko w sprawie Gdańska i w sprawie Górnośląska.

Przeciwko tym właśnie punktom raportu Komisji dla spraw polskich zwrócić się miał wkrótce atak Lloyd George’a, aby historyczne zadośćuczynienie Polsce, jakim miał być dla niej traktat pokojowy z Niemcami, uczynić gorzkim owocem i jeszcze bardziej ją wystawić na niebezpieczeństwa niemieckiego rewizjonizmu.

T. Piszczkowski
(Dokończenie w jednym z następ. num.)

FRANCISZEK STRZAŁKO

ATLAS ZABYTEKÓW ARCHITEKTURY

OPRACOWANIA naukowe wnoszące nowe wartości do dorobku wiedzy humanistycznej nie należą do częstych zjawisk w krajach rządzonych przez komunistów. Wartościowe prace powstają niewątpliwie w pracowniach niektórych poważnych naukowców, których nie brakuje jeszcze w krajach podporządkowanych Rosji po ostatniej wojnie, ale niewiele z nich ukazuje się w druku. Polityka wydawnicza nie popiera twórczości naukowej w najszerszym tego słowa znaczeniu, lecz uznaje raczej sprawoźdawczość naukową. Natomiast do pewnego stopnia popiera się prace mające na celu popularyzację wiedzy. Czy popularyzacja ta przybiera właściwe formy, to już inne pytanie, ale faktem jest, że ilość różnych popularnych opracowań, albumów itp. jest względnie pokaźna.

Do tej właśnie kategorii zaliczyć trzeba „Atlas zabytków architektury w Polsce” opracowany przez Jerzego Z. Łozińskiego i Adama Miłobędzkiego (Warszawa 1967).

Adam Miłobędzki ma już za sobą całkiem pokaźny dorobek pisarski. W roku 1957 ukazał się nakładem Ossolineum przedruk Siedemnastowiecznej rozprawki pt. „KRÓTKA NAUKA BUDOWNICZA DWORÓW, PAŁACÓW, ZAMKÓW PODŁUG NIEBA Y ZWYCZAJU POLSKIEGO”, zaopatrzonej w obszerny wstęp i komentarz Miłobędzkiego. W roku 1963 wyszedł jego „Zarys dziejów architektury w Polsce”, pierwsze tego rodzaju opracowanie w osobnym książkowym wydaniu, jakie ukazało się w kraju. Warto tu przypomnieć, że ukazanie się tej publikacji poprzedzone zostało wydaniem w roku 1956 „Dzieł architektury w Polsce” Zbigniewa Dmochowskiego przez Polski Ośrodek Badań w Londynie. Praca Dmochowskiego, zaopatrzonej w przeszło 1.000 ilustracji i uwzględniającej cały obszar Polski, dostała się do kraju w dużej ilości egzemplarzy i wypełniła częściowo dotkliwą lukę w literaturze przedmiotu. Wydaje się również, że zmusiła one decydujące czynniki wydawnicze w Polsce do liczenia się z faktem, że rzeczywisty polski dorobek architektoniczny nie może być traktowany w oderwaniu od tego, co działo się w ciągu wielu wieków za Bugiem i Sanem. Ludziom nauki udało się przekonać decydujący na najwyższym szczeblu ciemnogród partyjny, że są pewne rzeczy, których niesposób przykroć do wążutkich ramek propagandowych zakreślonych przez dzisiejszą polską rzeczywistość polityczną. W przeciwieństwie do wcześniejszych publikacji o architekturze „Historia sztuki polskiej” wydana w roku 1962 i „Zarys architektury w Polsce” Miłobędzkiego uwzględniają rozwój naszej architektury na całym obszarze Polski. Niestety, w „Atlasie zabytków architektury w Polsce”, któremu poświęcamy niniejsze uwagi, widzimy regres pod tym względem. Oczywiście książka, która jest rodzajem przewodnika, może nie uwzględniać zabytków leżących za kordonem, skoro i tak zwiędający nie będą mieli do nich dostępu. Ale wstęp historyczny, który poprzedza w „Atlasie” katalog zabytków, powinien był dać obraz polskiego dorobku architektonicznego jako całości. Tak się nie stało. Czytelnik otrzymał obraz fragmentaryczny i to w rozdziale o charakterze wybitnie syntetycznym, a więc obraz bez wartości informacyjno-naukowej. Bo historia architektury polskiej — choćby najkrótsza — nie może pominąć na przykład kościoła jezuitów w Nieświeżu, którego budowa rozpoczęła się w roku 1582, gdy pierwowzór tej architektury, Il Gesù w Rzymie, był jeszcze wykańczany. Kościół nieświejski to początek kościelnej architektury barokowej w Polsce (i nie tylko w Polsce), jak więc można mówić o rozwoju tej architektury, jeśli pomija się moment najważniejszy: jej powstanie? I cóż to za przegląd ar-

chitektury polskiej, w którym brak nazwisk Gucewicza, Moszyńskiego, Meretyna i innych? Miłobędzki jest autorem zbyt inteligentnym by nie widział całej absurdalności takiego ujęcia. Nie zapominajmy, że jego „Zarys dziejów architektury w Polsce” zupełnie inaczej traktuje te sprawy. Jesteśmy więc przekonani, że autor uległ tu presji wydawców. Broniąc się zapewne przed narzucanym mu nienaukowym potraktowaniem zagadnienia znalazł on jednak sui generis wyjście: w tytułach rozdziałów traktujących o baroku zaznaczył on, że mówi o Polsce centralnej i południowej, względnie tylko o centralnej. W ten sposób Polska wschodnia została przynajmniej wyłączone. Takie rozwiązanie oczywiście nie zatłumia sprawy, ale autor ratuje twarz.

Podobnych sytuacji mamy mnóstwo w Polsce: naukowcy skarżą się na interwencję czynnika „redakcyjnego”, który nie mając zwykłego pojęcia o temacie prac naukowych, powierzonych jego „pieczy”, wtrąca raz za razem swoje trzy grosze, nie biorąc za to żadnej odpowiedzialności, bo w końcu uczony sam firmuje swoim nazwiskiem „skorygowaną” pracę. A można sobie wyobrazić natręctwo czynnika redakcyjnego czy cenzorskiego tam, gdzie w grę wchodzi momenty polityczne, rzeczywiste lub urojone!

W tych warunkach nie mamy ochoty winić autorów „Atlasu” za mapę Polski umieszczoną we wstępie historycznym. Jest to osobiwy przykład preparowania informacji historycznej dla celów aktualnej propagandy politycznej. Na mapce tej mamy granicę z różnych okresów, m.in. z czasów Królestwa Kongresowego; to jest rozróżnienie pomyślane: niech czytelnik widzi, jak Polska dzisiejsza rozrosła się terytorialnie od tych czasów! Mapa ukazuje również granicę Polski za Jagiellonów, ale nie dla całego państwa: bardzo przemysłnie ramka mapy obcina bieg tych granic zaraz za Bugiem. Natomiast ostatnią granicę uznano za rzecz zbyteczną: a nuż jakiś chytry czytelnik zaraz zauważyłby, że Polska Ludowa jest mniejsza od kapitalistycznej! I wogóle po co przypominać o Lwowie, Wilnie, Tarnopolu! I tak nie mówi się o tych miastach w tekście.

Na końcu książki umieszczone bardzo dobrze wykonane mapki kolorowe z ukazaniem poszczególnych zabytków architektury. Po mapkach następują kolorowe plany 15 miast polskich, najbogatszych w dzieła architektury. Szkoda tylko, że zaraz za kordonem widzimy takie nazwy jak Rawa Russkaja, Gorodok, Mostiska, Sudowaja Wisznia, Drogo-byz. Wiemy dobrze, że istnieją od niepamiętnych czasów takie miejscowości jak Rawa Ruska, Gródek Jagielloński, Mościska, Sądowa Wisznia i Drohobycz. Tak też podane są nazwy tych miejscowości na innych mapach wydanych w tymże roku 1967 w kraju. Są widać jeszcze wydawcy, którzy nie zatarli resztek poczucia godności i którzy nie obnoszą się ze swoim serwilizmem. Szkoda, że nie można powiedzieć tego o wydawcach „Atlasu zabytków architektury polskiej”.

Katalog zabytków, poprzedzający

mapy, obejmuje około 3.500 obiektów. Prawdziwą ozdobą książki są zdjęcia zabytków architektury w ilości 397. Są to małe ilustracje, ale oparte na świetnych zdjęciach doskonale zreprodukowanych, więc ogląda się je z prawdziwą rozkoszą.

Piszącego te słowa spotkała przy oglądaniu tych zdjęć szczególna niespodzianka: okazało się, że drewniana cerkiew w Kwiatoniu w powiecie gorlickim jeszcze stoi. Słusznie dzisiaj jako kościół wobec depotacji ludności grecko-katolickiej. Czytelnik „Myśli” może nie wie, że cerkiew w Kwiatoniu jest najcenniejszym pomnikiem architektury na ziemiach naszych, arcydzieło jakiegoś równego nie znajdziemy poza Polską.

ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI W LEEDS

DNIA 19 listopada 1967 r. Leeds uczciło rocznicę niepodległości. O godz. 12-tej w kościele Holy Rosary ks. dr S. Kluz odprawił mszę św. na intencję odbudowania suwerenności Polski i wygłosił patriotyczne, piękne kazanie. Po południu odbyła się Akademia, zorganizowana przez miejscowe Koło SPK. Po powitaniu przez prezesa SPK p. J. Stańczyka obecnych, głos zabrał przybyły z Londynu prezes Zjednoczenia Polskiego, redaktor Paweł Hęciak. W niezwykle pięknym przemówieniu mówca przedstawił rolę organizacji społecznych przed pierwszą wojną światową i dzisiaj. Organizacje te przez swoje zaszczytne prace stanowiły dawniej i obecnie zaplecze dla działalności polityczno-niepodległościowej. Długo nie milknące oklaski świadczyły o zrozumieniu i aprobacie też wygłoszonych w referacie. W przerwie odbyła się zbiórka na Skarb Narodowy, która przyniosła £9.8.0.

W drugiej, bardzo urozmaiconej części artystycznej, wystąpił chór „Harfa”, dzieci przedszkola i Szkoły Sobotniej oraz występ taneczny KSMP.

Największą i najwspanialszą atrakcją był występ artystów z Londynu: p. Ireney Delmar i prof. B. Czaplickiego.

PRZEOBRZENIA SOCJALNE WSI POLSKIEJ

(Dokończenie ze str. 2)

autorytetem na wsi pozostał jeszcze proboszcz. Do niego udaje się gospodarz z całym zaufaniem. Posyła dzieci na naukę religii. Bierze ślub w kościele, uczęszcza na nabożeństwa, grzebie swych bliskich wasyście księdza. Szeroką ręką wspiera też plebanie. Odnosi się do szczególnie do tych wsi, które leżą z dala od wielkich miast i ośrodków przemysłowych. Tam więc gromadka jest wciąż silna. We wsiach podmiejskich, gdzie część mieszkańców pracuje poza rolnictwem, oraz we wsiach nowych, powstałych po wojnie, gdzie nie zdążyły się jeszcze wytworzyć więzy wspólnoty, społeczność wiejska ma charakter otwarty. Łatwiej przyjmuje nowinki miejskie i ulega wpływom środowisk robotniczych i propagandzie.

Dwudziestoletnie rządy komunistyczne nie stworzyły mimo oficjalnych zapewnień sojuszu robotniczo-chłopskiego. Przeciwnie poszerzyły przepaść i nieufność między tymi klasami. W warstwach zaś inteligencji pogłębiły pogardę dla pracy fizycznej.

Wacław Netter

NAKLADEM KOMITETU WYDAWNICZEGO W CHICAGO

książka

Izabelli z Lutosławskich Wolikowskiej

pt.

ROMAN DMOWSKI

CZŁOWIEK, POLAK, PRZYJACIEL

Do nabycia:

W Administracji „Myśli Polskiej”
8, Alma Terrace, London, W. 8.

oraz

we wszystkich księgarniach polskich.

Stron 303; — Cena 31/6 szylingów.